

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WINCENTY BRZOSOWSKI

PRAGNIENIE.

Rokhu! bajeczny ptaku orientalnych marzeń!
Któryś Syndbada wyrwał lotem swej potęgi
Z ostrowia, gdzie nie było ducha, i w gwiazd kręgi
Rzucił i nurzał w rozkosz niebiańskich przerażeń!

Rokhu! straszny jadaczu węzów! oto wrażeń
Codziennych płazów zdradnie wokół mnie lśnią pręgi!
A przed blaskiem mych oczu — puste widnokręgi!
A moja głowa płonie głodem wielkich zdarzeń!

O, rozwiń nad mem czołem swych skrzydeł wachlarze!
I porwij kędy gorą słońce, planet ołtarze
I hymn **Duszy-Powszechnej** brzmi po trzykroć święty!

A jeśli mą nicością pęd twój latający
Wstrzymam, to ciśnij w wążów ów kamieniami lśniący —
Niechaj roztrzaskam czaszkę mą o dyamenty!

WACŁAW WOLSKI.

Z CYKLU „BAŚŃ LAT DZIECIECYCH“.

KOŁYSANKA.

...Złotego słońca skroń anioły zmierzchu szare
Owiały przedzą mar, baśniową pajęczyną,
Marzenia kwiatnych błoń, miraż sennie płyną,
Szklanego zmroku czar nawiewa baśnie stare...

Widmowa chwije dłoń kolebkę złotosiną,
Z ogromnych ciemnych bar na Ducha Nocy marę
Opada płaszcza toń, brylanty płoną jare...
Lśni gwiazd miliardów żar nad śpiącą tam dzieciną...

Z czarownych baśni sfer melodia splywa szklana...
Kołyśki złotej szmer... błyszcząca iza szatana...
Jak brylantowy groch na jego licu ciemnem...

Bronzowej piersi szloch z huczeniem burz podziemnem,
Gdy bucha pianą skier jej głąb rozkołysana...
Marzeniem piany szmer przyszłego nadcygana...

SPOWIJANIE.

...Księżyc rozsnuł pod drzewach swe srebro pajęcze,
Cichą, senną polankę czar oprzął widmowy...
W głębi drzemie w księżycu bór srebrny palmowy...
W zdroju marzeń ugasił kół szklanych obreze...

Błyszczą srebrnych nimf wodnych korowód baśniowy...
W kole srebrny posążek, spowijany w tęcze...
Z kryształowych palm srebrnych korony pajęcze...
Śniącej matki nad śpiącym uśmiech księżycowy...

Wioną seune girlandy nimf, jak srebrne puchy...
W srebrną światłość księżycą błyszczące mkną duchy,
Gdyby niemych, tańczących snów harfa świetlana...

Jak zaklęta lśni srebrnych palm wizya rozchwiana
W łęku, żeby nie prysnął baśniowy czar kruchy...
Nad uśpioną dzieciną śni srebrna Goplana...

W BUDUARZE.

(WIZYA ŻŁOTA.)

...Lśni szlifowany kryształ czarny
W złotym owalu lśniącej ramy...
W lustro śmiech dzwoni złotogamy...
Widmowy chochlik lśni figlarny...

Marzenie złotej płochy damy...
Ceremonialny dyg niezdarney...
Lustr kandelabrow złotożarny
I purpurowych lamp sezamy...

W zwierciadle wizya lśni demona,
Puchowa, złota óma motyla,
Upiornem światłem okrwawiona...

Z za złotej ramy gors wychyla
Rozfiglowana złota Lila...
W orgii złotego śmiechu kona...

NA ŻŁOTYCH SKRZYPCACH.

(SYMFONIA KSIĘŻYCOWA.)

...Po szklanych strunach smyczek brylantowy
Zielona łapa szatana prowadzi,
Wyczarowując tuman kolorowy
Szronowych iskieł dyamentowej szadzi...

Jak słup szmaragdu, lśni skrzypek widmowy...
Pryzm kryształowych brzęk szklany, owadzi,
Jak szum podmorskich sezamów muszlowy,
Słuchaczów opium baśniowem oczadzi...

Powietrznych komnat gwiazdziste krystały
Baśń miesięcznego błękitu zalewa...
W oczach aniołów brylanty błyszcząły...

Zielony szatan, z tęsknoty omdlały,
Na złotych skrzypcach kohebania ból śpiewa...
Symfonia cichnie, przygasa, omdlewa...

OSKAR WILDE.

MŁODY KRÓL.

W wilię dnia koronacji swojej, siedział młody król samotny w pięknej komnacie. Już przedtem pożegnali go dworzanie, chyląc swe czoła — według praw ceremonialnych — aż do ziemi i udali się do Wielkiej Sali Pałacowej, gdzie mistrz ceremonii rozdał im ostatnie instrukcje; u niektórych bowiem pozostało jeszcze coś naturalnego — zdaje się, że niepotrzebnie to tu objaśniam — co dla magnata przy dworze nie wypadało zdradzać.

Młody chłopak, zaledwie szesnaście lat liczący, nie martwił się ich odejściem; z okrzykiem zadowolenia rzucił się na miękkie poduszki swego łoża ozdobnego i pozostał tak, leżąc z rozwartymi oczyma i ustami jak faun, lub zwierzę leśne, świeżo ubite przez myśliwego.

I rzeczywiście, to myśliwi go schwyтали; wpadli na niego przypadkiem, kiedy nagi, róg w ręku trzymając, pędził trzodek kóz, swego domniemanego ojca, który go też wychował. Dziecko jedynej córki starego króla, pochodził z tajemniczego małżeństwa tejże z osobą stojącą w godności (pod względem towarzyskim) o wiele niżej od Niej; jedni twierdzili, że był to przybysz z obcej ziemi, który li tylko potęgą swej czarującej lutni rozkochał w sobie księżniczkę; drudzy mówili o jakimś artyście Rimini'm; księżniczka przyjęła go podobno z wielkimi honorami, może za wielkimi, ale wkrótce znikł, pozostawiając niedokończoną dzieło, nad którym pracował był w katedrze.

Dziecinę, mającą zaledwie dni osiem, wykradzono podczas Jej snu i oddano opiece bezdzietnej parze wieśniaczej, żyjącej na krańcu lasu, na dzień drogi oddalonego od miasta. Ból — zaraza, jak orzekł lekarz nadworny, a jak niektórzy twierdzili trucizna włoska, wmieszana w kieliszek zaprawionego wina — zakończył żywot białej księżniczki, która go na świat wydała, w tej samej chwili, kiedy zaufany sługa, unoszący dziecko, zeskoczył z konia i zapukał w proste drzwi chaty pasterskiej; ciało księżniczki złożono w jamie, wykopanej na ementarzu skazanych, zdala od bram miasta, gdzie też, jak mówili, leżał trup młodego człowieka, przybysza o twarzy przedziwnie pięknej, z rękoma w tył związanej i piersią podziurawioną lieznami, krwią nabiegłymi ranami.

Oto mniej więcej historia, którą sobie powtarzano na ucho. To jednak pewnem jest, że stary król na łożu śmierci, może porwany wyrzutami sumienia i wspomnieniem swej winy, może chcąc tylko państwo ochronić przed przejściem w ręce obce, kazał odszukać młodego chłopca, i wobec Rady państwa ogłosił go swoim następcą.

I zdaje się, że to od tej chwili uznania go, pojawiły się w młodym chłopcu symptomy dziwnej namiętności do Piękną, namiętności, która na ukształtowanie się całego jego życia wielką rolę odegrała. Ci, którzy mu towarzyszyli przy oględzinach komnat, przeznaczonych dla niego, opowiadali często o zachwyście, wydzierającym się z ust, kiedy ujrzał misterne szaty i bogate klejnoty, ofiarowane do jego użytku i radości, prawie dziwiej, z którą zrzucił z siebie swoją tunikę pasterską i płaszcz workowaty z skóry owczej. Prawda, czasami brak mu było tego życia wolnego i pięknego wśród lasów, a nudny ceremoniał dworski, zabierający mu tyle godzin każdego

dnia, gniewał go; ale wspaniały pałac — zwany pałacem Radości — gdzie czuł się Panem, zdawał mu się, jakby nowy świat stworzony dla Niego, i od chwili, w której mógł uciec z Rady lub sali audyencyonalnej, zbiegał ze schodów, ozdobionych lwami z brązu złoczonego i kruźganków z porfiru lśniącego i rozpoczynał swe przechadzki z sali do sali, z korytarza w korytarz, jak ktoś, co szuka w kontemplacji rzeczy pięknych środka przeciw swym dolegliwościom, pewnego rodzaju wzmocnienia przy rekonwalescencji.

Podczas tych podróży odkrył, jak on je nazywał i rzeczywiście były to podróże podziemne przez kraj godny podziwu, towarzyszyli mu paziowie, smukli, o blond włosach, płaszczach powłóczystych z przypiętymi kokardami; częściej jednak przechadzał się sam, czując raczej instynktownie coś w rodzaju objawienia, że arkana sztuki poznajemy lepiej w tajemnicy a Piękność, również jak i Mądrość bardziej ceni wielbiciele samotnych.

Z tej epoki jego życia opowiadają też mnóstwo ciekawych historyjek. Pewien tłusty burmistrz przyjechał przedstawić mu bardzo napsuszony adres w imieniu swego urzędu; młody król podstępnie zmusił go do ukłęknięcia w pozie modlącej się przed obrazem, przysłanym z Wenecji a oznajmującym kult nowych bogów. Pewnego razu znikł na godzin kilka; po długich poszukiwaniach znaleziono go w małej izdebce północnej wieży pałacu, gdzie siedział nad kosztownym kamieniem greckim, przedstawiającym Adonisa, zamysłony, jakby w ekstazie. Widziano go — tak pogłoski obiegały dwór — jak składał namiętnę pocałunki na marmurowe czoło antycznej statui, znalezionej w rzece podczas rekonstrukcji mostu, a noszącej napis niewolnika bityńskiego, Hadriana. Innym razem spędził noc całą na obserwowaniu efektów, wywołanych grą promieni księżycy na rzeźbie Endymiona w złości.

Wszystkie przedmioty rzadkie i kosztowne wycierały na nim tak wielką fascynację, iż w swoim królewskim pragnieniu posiadania je, wysyłał agentów za granicę, bądź na zakupno bursztynu u rybaków morza północnego, bądź do Egiptu dla wyszukania tych dziwnych turkusów zielonych, znajdujących się jedynie w grobach królewskich i którym też przypisywano siłę magiczną; wreszcie do Persji po jedwab i wyroby ceramiczne, lub Indyi, w celu nabycia gazy, kości słoniowej, kamieni księżycowych (?) i naramienników z żadu (odmiana onyksu?!), drzewa metalowego, niebieskiej emalii i „shawlsów“ z cienkiej tkaniny.

Najbardziej jednak zajmowała go szata z tkaniny złotej, którą miał wdziać w dzień swej koronacji, korona ozdobiona rubinami i berło wysadzane rzędami pereł. I o tem też marzył dzisiejszego wieczoru, kiedy rozłożony na wspaniałym łożu, wpatrywał się w wiązankę drzewa, tnącą się na otwartem ognisku. Przedłożono mu rysunki najlepszych artystów owego czasu i od kilku miesięcy już — wydawszy odpowiednie rozporządzenie — pracowano nad ich wykonaniem; trzeba było przeszukać świat cały, nim znaleziono godnych zajęcia przy takim dziele. I widział się w swych marzeniach na czele u stóp wielkiego ołtarza w katedrze w tym królewskim kostyumie; uśmiech rozkwitł i pozostał na jego ustach, rozjaśniając jego oczy ciemne jak las.

Po kilku chwilach medytacji opuścił swe łożo a oparłszy się o rzeźbioną zastonę kominka, począł

się rozglądać wokół siebie. W sali panował półmrok; ściany obito tapetami, przedstawiającymi zwycięstwo Piękna. Wielka szafa inkrustowana agatami i lapislazulami wypełniała jeden kąt; naprzeciw okna widać można było przez drzwi odchylone wewnętrzne urządzenie małego gabinetu; na ścianach umieszczono „panneaux“ z wymalowanymi lakami; laki przeoudne, obsypane lekkim pyłkiem lub złotem nasycione, kilka puharów z cienkiego szkła weneckiego i kielich z onyksu o ciemnych żyłkach. Na jedwabnej kapie łóżka wyhaftowano blade maki, jakby dłonią zużoną rozsypane a róże, by z kości słońskiej lane, podtrzymywały baldachim, na szezycie którego drżał pęk piór strusich, wyglądających jak biała piana wobec pułapu cyzelowanego złotem. Antyczny Nareyz z zielonego bronzu unosił nad swą głową kryształowe zwierciadło. Na stole niski kielich z ametystu. Po przez okno widać było można wieżę katedry, podobną raczej do ogromnego balonu, unoszącego się nad domami, pograżonymi w cieniu; nad rzeką wzdłuż terasy zamglonej kręciła się zużona straż. Gdzieś w dali wśród krzaków śpiewał słowik. Lekka woń jaśminu dolatywała przez okno otwarte. Odsunął kosmyki włosów kasztanowatych, spływających mu na czoło, wziął lutnię do rąk, błędząc palcami po strunach. Dziwne wyczerpanie go ogarnęło; spuścił ociężałe rzesy. Nigdy jeszcze nie czuł w sobie, w sposób tak przejmujący tę dziwną moc i misteryum rzeczy pięknych, co mu taką wyrafinowaną rozkosz sprawiała.

Na wieży północ wybiła; zadzwonił a paziowie weszli, rozebrali go z wielką ceremonią, obmyli dłonie wodą różaną a na węgłowie rozsypali kwiaty. Opuścili komnatę a młody król już w kilka chwili później zasnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TLUM. BRONISŁAW CZARNOLESKI.

TAD. ST. GRABOWSKI.

JAROSŁAW VRCHLICKÝ I JEGO POEZJA.

W 50-ą życia rocznicę.

Oto — co za znaczenie poezji i zarazem poety, który sam jedynie tę jej potęgę nadać może, poety — który jest wysłannikiem Boga niejako na ziemi, który jest pomocnikiem Boga w dokonaniu wspaniałego dzieła, wyzwolenia ludzkości z pętów ducha: ciemnoty, jadu i złości, przewodnią gwiazdą w postępie ku wiecznemu słońcu prawdy, światła i szczęścia.

„Dalej wciąż naprzód! Wy dobrze to wiecie,
Że w służbie myśli, której się oddacie,
Wy Bogu swemu krzyż nieść pomagacie!“

(„Do Geniuszów“).

A przyroda?

Ta zrazu dziwnie ponure snuje przed sobą obrazy. W pierwszym zbiorze wierszy, zatytułowanym: „Z hlubin“ (Z głębin), a wyszłym w r. 1875, chociaż treść ich, głębokość myśli i forma odrazu wskazały wielkiego poety, jednak w zbiorze tym czuść jakąś jeszcze nieszczerłość, jakąś sztuczność, czy przesadę. Dziwna, niewytłumaczona gorycz, surowy pesymizm, chłodna ponurość wieje tu z każdego wiersza i mrozi tem bardziej, zadziwia tem mooniej, że wieje z wiersza, skreślonego bardzo młodzieńczą jeszcze ręką, że płynie z piersi wyrostka zaledwie. „Przyroda dla mnie — pisze w przedmowie do zbioru „Z hlubin“ — była tylko zwierciadłem smutku mo-

jego... Jam ją kochał, jak wiezień kocha szum potoka za oknem swego więzienia... jam z nią rozmawiał, jak on mówi z cieniami, przesuającymi się po jego murach“. — Mimowoli pytamy: skąd w tak młodem sercu tyle krzyku, smutku, tyle pesymizmu. Koniecznie chce się nam wydać sztucznym i nienaturalnym.

I rzeczywiście tak jest. Zaraz w następnym roku wyszły „Epické básně“ i „Marzenia dušy“ dowodzą tego zupełnie. Był to chwilowy stan duszy młodzieńca pod wpływem chwilowych niepowodzeń, stan, który młodość, jak zwykle uogólniła, rozszerzyła na otoczenie i naturę.

Te pesymistyczne poglądy nasunęła mu z jednej strony grzeszność, a z drugiej słabość ciała ludzkiego. Kiedy jednak je uzdrowił i duchem uszlachetnił, wszedł w inny stosunek z naturą. Jej zjawiska ukazały mu się w bardziej konkretnych formach, pojęcia o niej stały się jaśniejsze i zdobyły siłę indywidualnego doświadczenia. Vrchlický odtąd stał się natchnionym wielbicielem przyrody („Duch i świat“) i helleńskiej starożytności, patrzył na świat i przyrodę z mitycznego stanowiska, a „mythos“ był dlań jedyną konkretną formą panteizmu. Przyroda jest dlań wiecznie bożą szatą, wiecznie płodną siłą życia, wiecznym źródłem i grobem wszystkiego. W ściślejszem znaczeniu przyroda jest siłą ziemskiej materij, mocą słonecznej ciepłoty i światłości, potęgą życiowych popędów, weselem i pięknem świata. To jest starogrecki Pan, a obok niego Afrodyta.

Wśród takiej natury dzwoni poeta „Eldorado“, wśród takiej natury znajduje on swoją Muzę. W poetyckim zbioru „Dni a noci“ powiada: „wszelkie zjawisko w naturze jest dla mnie pieśnią. Najpiękniejsza pieśń jest dla mnie oddźwiękiem pocałunku; dzieje ludzkości są grzmiącym epos, a jego życie dramatem“.

Innym razem przyroda przedstawia się poecie, jako źródło tajemniczości (Sfinx), które oplata człowieka grozą zawitych problemów i zagadek.

Przyroda jest wreszcie dla niego krainą bujnej zieleni drzew, kochających się ptaków, osklepioną wiśniowem niebem. I tu obserwujące oko poety patrzy w nieskończoność, a uwaga jego nie pominie i najlichszego stworzenia.

Tak się zmienia i stopniuje pojęcie poety o przyrodzie, a razem z niem stopniuje się i jego nastrój. Z początku przeważa mroczny pesymizm, wspaniała duma wpatrzonego w siebie i samemu sobie wystarczającego artysty, — potem radosna swoboda panteizmu. Tu znalazł Boga w ewolucji ludzkości, w śpiewie natury, w istnieniu stworzeń wszelkich:

Wszechświat — twarz jego; a głos morza granie. —

— Rozszerzcie Boga!

Ziemia niech będzie jedną z pereł mlecznych.

Którymi błyska jego przepasanie —

— Rozszerzcie Boga!

On sam niech będzie wszystkim! Trawką lichę,
Ziarenkiem piasku, cedrem na Libanie...

— Rozszerzcie Boga!

A serce ludzkie niech mu tronem będzie,
Niechaj wieść o nim niesie liry granie...

— Rozszerzcie Boga!

Z wszechpiękna tworców, i z wina puharu
Niech oka jego błyska nam zaranie,

— Rozszerzcie Boga!

I z ust kochanych niech dech jego splywa
I wszechmiłości niech świat czuje drganie —
— Rozszerzcie Boga!*)

Tu zetknął się z szlachetnymi objawami rozbudzenia się w ludzkości uczucia i współczucia. Tu wreszcie znajduje realną rzeczywistość i prawdę człowieka.

Człowiek u Vrechlickiego jest naprzód nędzną istotą, której jedynym celem jest grób. Z tego pesymizmu i tu wyzwala się wprawdzie, a niezadowolony ze swej doby, przechodzi dzieje świata, jak Dante piekło, aby poznać męki i cierpienia ludzkości. Przewodniczką mu „humanitas“, idea, której rozwój widzi wśród biegu wieków świata. „Jej zorzą w dziejach — są kroki Boga“ („Sfinx“.) Jest to hasło ducha Wiktora Hugo.

Początek, dojrzewanie i rozwój człowieka opisuje częścią według nauk przyrodniczych, częścią wedle mitów; względnie i bada też pismo św. (dobę patryarchów) przechodzi talmud, studyjuje starogrecką mitologię, dalej średniowieczne legendy i baśnie, przegląda historie i kroniki, wreszcie słucha starych, ludowych, ustnych podań. Wszystko poznaje, w czemkolwiek, kiedy i gdzie duch ludzki się objawił. Porusza go to przedewszystkiem swą potęgą i majestatem („Epické básně“ — „Duh a svět“ — „Mythly“ — „Perspektivy“ — „Stare zvěsti“), następnie swem pięknem i blaskiem (motywy hellenizmu i odrodzenia), wreszcie swem cierpieniem i nędzą. To ostatnie odnosi się do dby współczesnej, do której powrócił, kiedy całą przeszedł epopeję wieków.

Znalazł i lud czeski („Selské ballady“), ojczyznę („Hlásky v poušti“ — Głosy w puszczy), znalazł słabych i ucienionych, robotników i zbrodniarzy, dzieci i sieroty.

Lud od czasów najdawniejszych widzi dwojaki niejako, z dwóch stron: z jednej widzi go z bezwzględny, samolubny, gwałtowny i przemocony rozumem, z drugiej z smutnym, łagodnym i gotowym do poświęceń, spokojnym a wspaniałym uczuciem.

Te dwie cechy: rozum i uczucie, które tak wyraźnie uwydatniają się w ludzie, to dwa potężne czynniki kierujące losami ludzkości, to dwa jej duszy bieguny, wręcz przeciwne, wrogie sobie, wiecznie walczące ze sobą, a jednak jak przeciwne bieguny magnesu wiecznie przyciągające się wzajemnie. To wieczna i nieustanna walka ze sobą, a zarazem ciążenie ku sobie, to odwieczny bój i współzawodnictwo niejako, z którego jednak poeta uczuciu każe wyjść zwycięsko. I w niem znajduje poeta Chrystusa.

Ludzkość nie wyrzeknie się nigdy egoistycznego działania, zwłaszcza dlatego, że wrogim dla niej Sfinxem — uczucie, które może i musi walczyć z rozumem. Lecz ta uczuciowa połowa człowieczeństwa w walce tej nie może zginąć — jej przeznaczeniem zwycięstwo. Nietzsche zbłądził, gdy „zabił uczucie“ („Zamberské zvony“). Czyny egoizmu nie mogą zadość uczynić człowiekowi. One podtrzymują despotyzm, wiedzą człowieka ku cielesnej i duchowej niewoli. Z despotyzmu i niewoli duszy wyszli starzy bogowie grozy, bogowie posągów, świątyni i obrzędów. Prawdziwy bóg jest to wielki, święty bóg radosnych

czynów, bóg natchnionych dążeń, Bóg Oswobodziciela... („Dni a noci“). Natura nas wiedzie ku temu Bogu, natura będąca w nas rozumem, miłością i duchem swobody. A tem jest Chrystus, posłaniec Boga Oswobodziciela. Zwyciężył nie tyle cudami, ile miłością. („Perspektivy“). Przyszedł, by oswobodzić ujarzmionych i maluczkich, — a tymczasem świat go opuścił w tych dążeniach i tak dźwiga swe jarzmo dalej.

Cóż więc począć? — pyta poeta. — Odrodzić się trzeba! („Breviř moderniho člověka“ — Breviarz człowieka współczesnego.) To odrodzenie jednak u poety nie zawsze jednakowo rozumiane; najczęściej mówi, że osiągnąć je można przez miłość i dobro. Zresztą wszystko na świecie jest złudą — wszelka prawda, wiara, odpowiedzialność za własne czyny, wyrzuty sumienia — wszystko jest złudą, tamte tylko dwie idee są prawdą. („Dědictvi Tantalovo“ — Dziedzictwo Tantalusa.) Jeżeli tedy miłość i dobro są prawdziwymi ideami, to może mieć znaczenie zakon Chrystusa i świat może odrodzić się przez chrześcijaństwo.

Lecz nie zawsze i nie wszędzie tak tłumaczy poeta to odrodzenie; gdzieindziej n. p. w „Nowych złomkach epopei“ („Nove zlomky epopeje“) powiada, że świat odrodzić się może tylko przez piękno, a przez chrześcijaństwo tylko zamiera. Z pomiędzy wszystkich wieków ludzkości jeden wydaje mu się najznakomitszy, najjaśniejszy owem pięknem t. j. „Hellady sen sladki“ („Hellady sen sladky“). To był wedle jego rozumienia wiek mocy, piękności i wesela, idealny wiek i niemożliwe, aby taki wiek miał zupełnie i na zawsze zagaść. On zginął wprawdzie, ale tylko na to, aby powrócić znowu i to jeszcze piękniejszym i weselszym. Ten wiek helleński miał jednakże błąd, który sprowadził upadek jego, mianowicie miał niewolnictwo. Ale miał on także ideał piękna i dlatego musi on jeszcze powrócić, gdy tylko ludzkość, wyzwoliwszy się z pod jarzma największego jego błędu, znowu go zawoła, — wówczas powróci ten wiek piękna, szczęścia i wolności, oczyszczonej, bez skazy i już nie zginie. — Dział jest złe, tak złe, że gorzej być nie może, („Pouti k Eldoradu“ — Drogi do Eldorado, „Psyche“), lecz czas już jest bliski, kiedy znowu przebudzi się Pan i powróci Afrodyta. Są znaki, które przepowiadają ten czas ich przyjsia i odrodzenia ludzkości, a przedewszystkiem tym znakiem — radość i nadzieja poetów, którzy wiernie strzegli w swej ustroni wżgardzonego piękna. („Skvrny na slunci“ — Plamy na słońcu. — „Nová renaissance“.) — „Jač strzegę o piękno“ — śpiewa o sobie poeta i wysoko wznosi zadanie poezy i poety: każe im być pomocnikami w dziele odrodzenia na ziemi. Pan i Afrodyta nie będą przeszkadzały, to są radosne struny zdrowego ludzkiego uczucia, których dźwięk na chwilę tylko zmałcił fałszywie zrozumiany Bóg wieków średnich (ascetyzm).

Jest to — że się tak wyrażę — humanistyczno-poetyczna religia. W niej mieści się kult piękna i starożytności, ciała, kult przyrodzonej „humanitas“, — wszystko zaś łączy się z gorącym pragnieniem chrześcijańskiej miłości i współczucia. Podstawą wszystkiego jest „wpajanie się w dążenia ludzkości i wypełnianie jej pragnień“.

Tę ideę ujrzał poeta w epopei ludzkości. Kto

*) Przekłady, które tu zamieszczam, są częścią M. Kopniackiej, częścią Miriama.

jej nie widzi, jest ofiarą ciemnego demonu analizy, bezwiarą i sceptycyzmu.

I jego też — Vrehlickiego ten demon często i często nawiedza i zapędza w pesymizm, lecz zawsze tylko na krótko. Ten pesymizm pomaga mu do dojścia do prawdy, miłości i Boga. On jest dlań szkołą doświadczenia, ogniem oczyszczenia, przez który przeszedłszy, poeta wolny i czysty potężniej i wyżej na skrzydłach ducha swego się wznosi, jaśniej widzi z zauroków ziemskich słońce prawdy i Boga. To już nieuchronny los poetów; oni muszą walczyć z tym demonem, zanim zdołają poznać i odczuć wszystko, co człowieka dręczy, muszą przejść przez ten ogień oczyszczenia.

Lecz nie na to są poetami, aby tonęli w ciemnych otchłaniach przesadnego pesymizmu, lecz by go zmogli, by w ogniu jego nie spalili się, ale wyszlachetniali, nabrali hartu i blasku i wówczas okazali szarpanej namiętnością ludzkości słoneczną jasność w tej przesmutnej dolinie łez.

To jest wzniosłe powołanie sztuki i jemu zadanie uczynić Vrehlickiego.

Idea miłości zajmuje u Vrehlickiego bardzo ważne miejsce. Pojęcie miłości jest bardzo obszerne, stąd często ciemne i niewyraźne. Najjaśniej występuje miłość zmysłowa, którą poecie często zarzucają, że ją odkrywają tak szczerem, swobodnym sercem i śmiałymi pewnymi rysami ją kreśli, że umyślnie opiewa piękno nagiego ciała.

Ten silny, nigdy nieprzesadny, ani chorobliwy erotyzm — to czezonny przez starożytnych ów pęd wiosennej, młodej natury, ów instykt, który mówi, że jest ideał jedności, ideał ciała, ideał cielesnego piękna. To erotyzm, czysty, szczerzy i szlachetny, erotyzm, nie erotomania, w którą on często wpada! — ta jest zawsze grzechem.

Duch Vrehlickiego na tej drodze jest pod silnym wpływem odrodzenia i w nim należy szukać jego ideału kobiety. Nie jest on ani żadnym mistycznym kultem gotyckich Madon, ani kultem nowoczesnej, nieczułej lwy, ani tem bardziej emancypantki, — jego ideał kobiety ma postać bogini, ma pełne miłości i oddane serce, a zadaniem jego jest dopełniać ku światłu i pięknu rwącą się duszę męża, być wiecznym jego weselem, przyjaźnią i najwyższym ukojeniem, niekiedy zaś fatum jego i przekleństwem. Dusza kobieca jest niepojęta, niezgłębiona, niezbadana otchłania, prawdziwym Sfinxem, aniołem i szatanem zarazem.

I inne rodzaje miłości są tematem utworów Vrehlickiego, jak miłość rodzinna, ojcowska, przyjacielska, a zwłaszcza miłość ojczyzny. Swą ojczyznę i jej zadanie kulturalne znalazł on w studyach nad dziejami świata, jako ogniu jedno nieskończonego łańcucha, jako ułamek wielkiej epopei ludzkości. Nie zajmuje się wyłącznie historią dla niej samej; pomaga mu ona tylko do badań i myśli nad przyszłością narodu i ludzkości, światło minionych wieków rzuca jak zachodzące słońce swe promienie na mglisty jesoze wschód, na niepewną, zagadkową przyszłość. — Ta drogą dochodzi do pewnych rezultatów swych myśli i tu zaznacza już swe poglądy, swe reformatorskie dążenia: („Hlasy v poušti“ — Głosy na puszczy 1890.)

„Ojczyzna jest w okowach, lecz winy przodków pozostawmy w spokoju! Nie możemy być ani ich sędziami, ani mścicielami, gdyż nie jesteśmy do tego

dosyć silni i dobrzy. Dotąd jeszcześmy z mało braćmi między sobą, targamy się nawzajem, męczymy wewnętrznem szamotaniem. Dopiero wspólna miłość wzmocnić nas może i oswobodzić ze szpon samolubstwa, przez które cierpi tylko szczęście całości.“ — „Nie bójmy się, że zginiemy!“ — woła — „Izraela niszczone od wiek wieków, a nie zginął, tedy i my nie musimy zginąć i nie zginiemy, chociażśmy drobnym narodem! Tylko pracujmy i nie dajmy się!“ — Poeta czuje, że to wołanie jest głosem na puszczy a jednak milczeć nie może. Kiedy to odczuł, wyrazić musi a zewnątrz, wyśpiewać musi. A kiedy wyśpiewa takie serdeczne rwanie się duszy człowieczej, to pieśń taka święta i tylko stronnicze sądy przyjmą ją niechętnie. —

Jedyne, co do twórczości literackiej jest dla Vrehlickiego wstrętnem i niecznośnem, to szukanie w poezji pożytku i tendencyi — i tego najbardziej unika.

Oto pobieżnie i w części tylko zebrane myśli i poglądy poety, zawarte w jego liryce i epice po części. Pozostaje jeszcze cykl liryków, który sam poeta oddzielił, liryków czysto refleksyjnych, wchodzących często swą treścią, powagą, głębokością myśli i nastrojem właściwie już w zakres epiki.

Wynikły one, jak powszechnie wiadomo i jak sam poeta wyznał, z tego potężnego, a tylekrotnie już w innych poetów zawiedzionego pragnienia stworzenia wielkiej epopei ludzkości. Natęchnęła do tego piewęc czeskiego „Legenda wieków“ W. Hugo — rychło jednak poznał, co za szaloną myśl przedsięwziął, zrozumiał jej potęgę i ogrom, nie uląkł się jej wprowadzić, lecz doszedłszy do przekonania, że „ludzkość sama po dziś dzień jest złomkiem tylko“ — pojedyncze „złomki“ tylko brał z jej epopei, z jej przeszłości i rzucał w mglistą, milczącą przyszłość. Wspaniały, wielki pomysł wystrzelił pod niebo i szybko prysnął, jak rakietą, po niej jednak posypała się na ugor literacki czeski niezliczona moc drobnych brylantów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZYGMUNT SARNECKI.

DON JUAN I MARKIZ PRIOLA.

(Dokończenie.)

(III.) Wobec Molierowskiego areytworu i poetycznie w nim pojętej postaci Don Juana, markiz de Priola i sztuka, której dał nazwisko, wydaje się straszliwie poziomą. Mniejsza o sztukę — posiadającą wady, lecz i niezaprzeczone artystyczne zalety — ale czy postać sama jest istotnie obniżoną? Tak, niestety. Nie autor jednak ją obniżył, tylko smutne czasy i stosunki francuskie. Przedewszystkiem Priola, wbrew mniemaniu i twierdzeniu Lavedana, nie jest już szlachcicem, chociaż nosi tytuł margrabiego. Zapewnia on w długim opowiadaniu, iż jeden z jego przodków był poetą nadwornym Cezara Borgii, drugi kapitanem Konetabla de Bourbon, trzeci służył księciu Gwizyuszowi, czwarty brał udział w hulaszczycach kolacyjkach Filipa-regenta, piąty przyjaźnił się z Saint-Justem — prawdopodobnie w czasie głosowania za skazaniem na śmierć Ludwika XVI. Genealogia po-

wyższa ma być dokumentem rasowej dziedziczności zbrodni i rozpusty. — Tu nawiasowo zaznaczyć muszę, że Lavedan, trzymający się w swojej kreacji dość wiernie wybitniejszych cech charakteru Don Juana, w tym względzie sprzeniewierza się tradycji, a może poniekąd i właściwej psychologii jego rodu. Ojciec bohatera Gabryela Telleza, Don Diego, jest niemądry, ale najpoczeiwszy w świecie safandula; ojciec zaś Molierowskiego uwodziciela, Don Luis, jest zupełnie zaonym człowiekiem. Na tem nawet polega część tragiczności obu postaci i utworów. — Ale wracam do priolowskiej genealogii. Cała o niej „kwetya“ — nakreślona z błyszcząca werwą stylistyczną — nie posiada żadnego realnego znaczenia, wiadomo bowiem powszechnie, że dziś, we Francyi, majątek uszlacheca, a tytuł można sobie nadać, nie wydobywając go wcale z zapyłonych aktów i starych, pożółkłych pergaminów. On a le titre qu' on se donne, mówi towarzyskie — bardzo w Paryżu rozpowszechnione — przysłowie. Kilka prawdziwych nazwisk szlacheckich, złojących się jeszcze wśród czerni mieszczańskiej arystokracji francuskiej, oraz paru ostatnich Don Juanów, jakimi byli Grammont-Caderousse i Horacy de Choiseul, nie ma nic wspólnego z Priolą. Ale Henryk Lavedan, sam mieszczuch — popierany niegdyś przy wyborze do Akademii przez tak zwaną „partyę książęcą“, jako dobrze myślący „nacyonalista“ — może bezwiednie, instynktownie, a może i świadomie, stara się dowieść, że szlachta była najnikczemniejszą klasą społeczną i że moralne jej zbankowanie i odrodzenie — jakby coś, co nie żyje, odrodzić się mogło — leży w kojarzeniu się z mieszczaństwem. Już raz wypowiedział to bez ogródek w „Księciu d' Auree“. Znamowany rozlicznymi nadużyciami panów, nie posiadający dość sił, aby przywdziać i dźwignąć zbroję jednego ze swych pradziadków, omal nie sprzedaż własnej żony — swemu i jej wierzytelowi. Gdyby nie matka-mieszczanka — o ile pomnę córka młynarza, płacąca długi za syna i synową — młoda księżna stałaby się nałożnicą bankiera. W tej pierwszej sztuce, która go uczyniła sławnym, wyzyskał on w danej chwili bardzo zręcznie prąd antysemitki i antyarystokratyczny, chociaż w dzisiejszej Francyi, z bankierami-żydami, współzawodniczą dzielnie na polu łotrostw giełdowych bankierzy chrześcijańscy, a tak zwana arystokracja jest niezem więcej, jak zepsutem i bogatem mieszczaństwem, które zatrioło wszystkie stare enoty swego pochodzenia, stając się kastą wybraną i uprzywilejowaną. Nie twierdzą, aby w zapadłym kącie prowincyi, albo w jednej z kupieckich dzielnic Paryża, nie było jeszcze kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu uczciwych mieszczan, lecz ponieważ autor uogólnia swoje założenie, muszę zatem uogólnić także wiadome dane, które mu przeczą.

Brak choćby drobnego odcienia dobroci lub szlachetności w charakterze markiza Prioli, to kardynalny mankament postaci. Staje się ona przez to nieprawdopodobną w ogólno-ludzkiem znaczeniu, chociaż może jest prawdziwą w aktualnem francuskim. Priola nie posiada dwoistości natury Don Juana, nie składa się z pierwiastków zła i dobrego, jak każdy człowiek wyższy duchem, nie zezwierzęcony. Jest tylko czarny, czarny, brudno czarny. Niewiara jego nas nie interesuje i nie wzrusza, bo nikogo nigdy nie kochał ani na chwilę, bo nigdy nie cierpiał; wszystkim zawsze robił źle rozmyślnie z niesłychanym uporem i wytrwałością, bez momentalnego nawet wy-

buchu rycerskiej wrażliwości. Charakter jego odmalowany na tle niemal jak on sam czarnem, pozbawiony wszelkich psychicznych komplikacji, wydaje się poprostu niemożliwym. Chociaż literacki i stylistycznie błyszczący, teatralnie traci prawo do stawiania w jednym rzędzie z „wielkimi“ Don Juanami. Autor chce go jednak przy nich widzieć. Zaznacza to odrazu w pierwszej scenie utworu, umyślnie w tym celu napisanej. Szlachetność zastąpić ma w Priolim coś nakształt przywiązania do nieprawego syna, wychowanego zdala, zagranicą, bez opiekuńczej czułości ojcowskiego oka, w zamiarze zrobienia go dziedzicem majątku, nazwiska, tytułu, egoizmu własnego i pogardy dla ludzi. Zamiar ten usprawiedliwiłoby bolesne szamotanie się z tragizmem życia, wreszcie nieważność i zemsta za rozczarowania doznane — nie usprawiedliwia brak wszelkich zawodów — euczące, rozkładowe samolubstwo i zwykłe światowe zepsucie. Takie ujęcie charakteru przekracza granice twórczego realizmu, wdziera się — boczną furtką — w dziedzinę niemal romantyczną, pozbawioną poezyi, jaką najpotworniejsza i najskrajniejsza nawet romantyczność zawsze z sobą przynosiła. Zresztą syn margrabiego, nie dość plastyczny w wykonaniu, nie tłumaczący się jasno, za mało bowiem znamy jego duszę i przeszłość; niedostatecznie rozumiemy nawet stosunek, łączący go z ojcem w toku akoyi. Wplątany został w dramat dlatego tylko może, aby obwieścić — wśród filisterskiej szarzyzny naszej epoki — społeczny koniec Don Juanów, a kto wie, czy nie Don Juanizmu nawet. Jeśli tak, założenie wydaje mi się równie nieetyczne, jak fałszywe. Dopóki istnieje kobiety i mężczyźni, istnieje musi rasa Don Juanów. Wszystkich nie wybije paraliż. Po za przeżytymi i wyczerpanymi pozostanie zawsze, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej ogromna większość zdrowych i silnych, którzy dzieło bałamucenia niewiast prowadzić będą dalej z większem lub mniejszem powodzeniem, karani, czy nieukarani. Walka płci — odwieczna, przyrodzona, nieodzowna — istnieje musi ciągle, choćby dla tego tylko, aby dawać od czasu do czasu świadectwo enocie. Usuwając z życia społecznego demona żądź zgubnych, usuwamy z niego i anioła miłości. Ze starcia sprzecznych pragnień duszy i ciała, wypływa zwycięstwo, egzaltujące ducha, zapewniające trwałe byt idealowi na ziemi.

O-p.

Fizyokrata francuski o Polsce.

Du Pont de Nemours, wybitny przedstawiciel francuskiej szkoły fizyokratów, był czynnym pracownikiem około niefortunnego uzdrowiania Francyi w dobie bezpośrednio przedrewolucyjnej, za ministerstwa Turgot'a i następnych. *)

W roku 1771 rozpoczęła się długoletnia korespondencya jego z Karolem Fryderykiem badeńskim. Odtąd stosunki jego z tym dworem nie ustawały mimo przerw spowodowanych wypadkami politycznymi. Przy sposobności pobytu w Paryżu margrabiego badeńskiego z synem, miał dla młodego Karola Ludwika

*) Monografia o nim: G. Schelle: Du Pont de Nemours et l'école physiocratique. — Paris 1868.

szereg wykładów o zasadach szkoły fizyokratów. W dalszym ciągu prowadził tę naukę zapomocą pisanych wedle planu margrabiego rozprawek, które miały rozszerzyć naukowe wiadomości następcy tronu i dać mu głęboki pogląd na podstawy dobrego ustroju państwowego.

W roku 1772 za interwencyą księcia biskupa wileńskiego otrzymał tytuł radcy dworu badeńskiego. W r. 1779 posłał Karolowi Fryderykowi, zajętemu w tym czasie reformą systemu podatkowego, memoriał wypracowany parę lat wcześniej dla Turgot'a. W roku 1783 został przez króla francuskiego mianowany „chargé d'affaires“ margrabiego badeńskiego na dworze Ludwika XVI, który to urząd sprawował aż do wybuchu rewolucyi. Wypadki r. 1789 i następnym przerywały tę korespondencyę na kilka lat, potem zawiązała się na nowo.

W r. 1774 Du Pont przepędził kilka miesięcy w Polsce, jako nauczyciel młodego Adama Czartoryskiego i jako sekretarz komisji edukacyjnej narodowej. Jednakże już w tym samym roku odwołano go do Francyi, gdzie został zamianowany urzędnikiem w oddziale finansów.

W czasie i po tym pobytku Polska zajmuje kilkakrotnie jego uwagę zarówno w listach do Karola Fryderyka, jak i w rozprawach pisanych dla następcy tronu badeńskiego. Listy te i rozprawy zostały wydane w r. 1892 w Heidelbergu w dwutomowej książce p. t. „Carl Friedrichs von Baden Brieflicher Verkehr mit Mirabeau und Du Pont — bearbeitet von Carl Knies“.

Ze względu na stanowisko Du Pont'a w rządzie ekonomistów XVIII, w sąd jego o Polsce jest ze wszelkimi interesującym.

Jeszcze przed osobistym zetknięciem się ze stosunkami Polski miał o niej bardzo njemne wyobrażenie: „Je vais dans le pays des intrigues, des jalousies, des cabales, des despotes, des esclaves, des orgueilleux, des inconstants, des faibles et des fous“. Przedstawiała mu się jako kraj stojący pod względem kultury na stopniu niższym od innych krajów europejskich. „Les Français et vos peuples“ — pisze do Karola Fryderyka badeńskiego — „sont déjà civilisés. Le peuple de Pologne est encore serf et sauvage; et que de difficultés pour le tirer de ce premier état qui necessite l'autre“. Z tego powodu przypuszczał, że podane przez niego projekty, dotyczące wychowania publicznego, dadzą się tu przeprowadzić dopiero za 100 lat.

Rozpatrując utonności w urządzeniach Polski, odnosił je już do przeszłości, ponieważ r. 1764 t. j. rok wstąpienia na tron polski Stanisława Augusta, wydał mu się w jej dziejach przełomowym. Najważniejszy powód złego widzi w nieprawidłowości stosunków społecznych, a mianowicie w złym położeniu ludu. Stosunków tych jednak nie krytykuje w porównaniu ze stanem rzeczy w innych krajach, lecz ze stanowiska czysto teoretycznego. Ot trzeba — wyklada następcy tronu badeńskiego, Karolowi Ludwikowi — aby ludzie uprawiający ziemię, utrzymujący zatem społeczeństwo, zajmowali w niem stanowisko odpowiednie do swych zasług i byli odpowiednio poważani.

Prawa ludu stanowią podstawę władzy monarchyjnej, której powołaniem jest opiekować się tą warstwą, podczas gdy warstwy wyższe mogą się utrzymać własnymi siłami. Otóż w Polsce wcale nie było

ludu we właściwym tego słowa znaczeniu, ponieważ gwałcono tu zasadę, że: „il ne faut, contraindre personne“ — i nałożono na lud przymus oddawania kilku dni w tygodniu na usługi panów. Przymus ten uczynił ich („les vassaux“) obojętnymi na zachowanie i pomyślność kraju. Z tego powodu Polska zamiast stanowić 7 do 8 milionowy, silny naród, kierowany przez swą szlachtę, składała się właściwie z samej szlachty w liczbie 200 tysięcy ludzi, która była za słabą, aby mogła oprzeć się uroszczeniom potężnych państw sąsiednich. Wszyscy nie należący do szlachty byli tu prawie w niewoli, pozbawieni własności, zdani na łaskę i niełaskę panów.

W szlachcie polskiej widzi Du Pont spotęgowane wszystkie zalety i wady, charakteryzujące szlachtę francuską. Jest ona: „ingenieuse et brave, pleine d'activité, de sensibilité et de grâces, aimant le gloire et en parlant bien, aimant le plaisir et s'y livrant avec fureur, susceptible de l'entousiasme des plus grandes entreprises et changeant de projet avec une incroyable facilité“. Szlachta wyższa, despoteyczna względem warstw niższych, nie chciała znosić silnej władzy królewskiej, która ograniczała jej znaczenie, używała więc wszelkich usiłowań, aby ją zniszczyć, a natomiast utrzymywała stronnictwa, kierując nimi dowolnie. — Tak więc władza państwowa spoczywała w ręku kilku panów oddanych najczęściej potęgom obcym, poniżej szlachta uboga i kłótliva i lud niewolny.

Skutkiem tego był cały szereg kardynalnych braków; nie było skarbu, wojska, pożytecznego departamentu interesów zagranicznych, porządnego wymiaru sprawiedliwości. Wychowanie publiczne było pozostawione ambitnym mnihom, którzy utrzymywali wszędzie przesady, podstawę swej władzy i którzy intrygami utrzymywali zawiesi stronnictw, chcąc z wynikającej stąd anarchii odnieść korzyść dla swych zakonów. Oprócz tego wskutek złego położenia warstwy wieśniaczej i mieszczańskiej, rolnictwo nędzne, upadek handlu, przemysłu i finansów, brak porządku i spokoju wewnętrznego — jak z drugiej strony brak przyrzeczy i korzystnych stosunków na zewnątrz.

Obok ubóstwa zbytek, obok ciemnoty wiele zdolności, sprytu i odwagi rozwiniętych bez korzyści i bez celu, ponieważ szlachta wyższa otoczona niewolnikami nabrała pychy, niezdolności do decyzji i zepsucia właściwego despotom.

Taką przedstawia mu się Polska przed panowaniem Stanisława Augusta, który jest dla niego wzorem doskonałości, zaświadczającym w jego oczach wszystkie wybitne osobistości w Polsce tak dalece, że omawiając poprawę stosunków w Polsce nie wymienia ani jednego zasłużonego nazwiska, królowi przypisując wyłączną w niej inicjatywę.

Oto jak go charakteryzuje: posiada niepospolite wykształcenie, wymowę będącą naturalnym wyrazem czułego i szlachetnego serca, stały rozum, wzniosłą duszę, charakter pojednawczy. — Poniósł wielkie zasługi dla postępu sztuki i nauki, dzięki umiejętności jednania sobie ludzi ze swego otoczenia i wpływania na nich korzystnie. Ale taka działalność nie mogła mu wystarczyć, chciał być królem narodu i odnowicielem ojczyzny. Stanął do walki z przesądą, do walki o prawa dysydentów.

Przedstawiając wynikię stąd zamieszania, zdradza Du Pont brak zrozumienia stosunku Stanisława Augusta do dworu petersburskiego.

Rozpatrując trudne położenie króla polskiego, przypomina sobie dwa inne państwa znajdujące się równocześnie także w opłakanych stosunkach, mianowicie Francję i Szwecję. Oba te państwa jednak uważa wtedy (t. j. w r. 1783, w którym to pisze a zatem na 6 lat przed rewolucją francuską) — za ocalone już dzięki swym dzielnym rządcom. — Stanisław August nie zdołał Polski uchronić od rozbioru, ponieważ jako król elekcyjny i jako król Piast, nie mógł działać dosyć energicznie. Sądzi jednak, że historia powinna go z tego rozgrzeszyć. Powinna oddać sprawiedliwość enotom mądrości i odwadze króla, który nigdy nie zwątpił o dobro publiczne, użył wszelkich możliwych środków umiarkowania, rozumu i stałości, był silnym wobec nieprzyjaciół zewnętrznych a łagodnym wobec swych przeciwników w kraju.

Podział Polski charakteryzuje jako fakt nie przynoszący bynajmniej zaszczytu jej sąsiadom, przynajmniej jednak dobroczynne skutki dla społeczeństwa, mianowicie ożywienie ducha publicznego, co spowodowało utworzenie kilku korzystnych urzędów. Stanisław August bowiem, korzystając z lepszego usposobienia społeczeństwa, zreformował podstawowe urzędy Polski, mianowicie departament stosunków zagranicznych, skarb, finanse i wojsko, tudzież dał początek poprawie stosunków włościańskich. Wszystkiego tego dokonał wbrew wszelkim przeciwnościom — siłą umysłu i odwagą charakteru.

Osobista też zasługa króla jest utworzenie komisji edukacyjnej i budowlanej. Przypatrując się tej instytucji w r. 1776, stawia jej Du Pont smutne horoskopy. Przeszkodę rozwinięcia jej działalności widzi w owej niepraktyczności Polaków, niepozwalającej im przejść ze sfery projektów do czynu a także w braku środków, wynikającym ze złej gospodarki. „Il est presque impossible de faire autre chose ici, que de projets, encore y sont ils restreints et gênés, par l'excessive difficulté de l'exécution et par la mesquinerie à laquelle réduisent les faibles moyens, qu'on y peut employer“.

Nie bierze też wcale na serio projektów robionych przez Polaków, a sam ogranicza się do kilku planów szkół i kollegiów, których zrealizowanie będzie zależne od tego, czy Polacy nie będą się upierali przy obejmowaniu zbyt wielkiego terenu, czy się ograniczą do głównych miejscowości i do środków, jakimi rozporządzać mogą. Środki te oblicza na 60 tysięcy dukatów, do jakich zredukowany został wskutek złej gospodarki komisji rozdawniczej 3 milionowy majątek pojezuicki.

Z drugiej strony, takiej ograniczonej działalności nie rokuję wielkich rezultatów, bo sądzi, że wobec małej liczby ludzi, którzy będą z tego korzystali, naród nie odrodzi się i będzie trwał nadal w swej bezwładności. Zupełnie inaczej ocenia tę sprawę w r. 1783. Przedstawia komisję edukacji jako instytucję dobroczynną nie tylko dla Polski, ale dla całej ludzkości. Wprowadzony przez nią zdrowy i patriotyczny kierunek wychowania przeciwstawia pedantycznemu nauczaniu w Anglii i we Francji. Biada, że najbardziej oświecone państwa nie wyzyskały znakomitego przykładu, danego przez naród napół dziki i jak najbardziej oddalony od dobrej konstytucji. W Anglii i we Francji używa się dotąd książek napisanych bez planu, uczy się kilku martwych języków

i to również bez metody. Szkoła nie daje tu młodzieży pojęcia jej stosunku do ojczyzny i jej obowiązków względem społeczeństwa. Władzę państwową daje jej poznać jako siłę a nie jako dobrodziejstwo i interes publiczny. Nie przedkłada jej żadnej kwestii moralności i prawa publicznego, któraby tyczyła się życia, dlatego to wysoce urzędnicy są zmuszeni uczyć się zasad, którymi mają kierować się w prowadzeniu najwyższych spraw państwa. Gdy pod tym względem nastąpi postęp w tych państwach, będą to miały do zawdzięczenia królowi Stanisławowi Poniatowskiemu.

W tej charakterystyce stosunków polskich uderzają nas dwie rzeczy. Przy zestawianiu Polski z innymi państwami rażąca względem niej niesprawiedliwość, szczególnie co do stosunków społecznych, które nigdzie — a zwłaszcza w „ocalonej już“ — wedle Du Pont'a — Francji bynajmniej lepszymi nie były, — a następnie idealizowanie postaci króla, która widocznie oślnęła go złudnymi pozorami. Nie mniej w krytyce stosunków polskich, jak i w podniesieniu wartości i znaczenia komisji edukacyjnej wiele jest sądów trafnych.

AFORYZMY.

210. Nie wymagajcie niczego wielkiego od ołówek, który chce sam sobie wystarczyć.

Hondart de la Motte.

211. Opinie ludzi w rzeczach moralności są prawie zawsze więcej warte niż ich postępowanie.

H. Marion.

212. Melancholia jest to zadowolenie z własnego smutku.

213. Wielu ludzi kieruje się w życiu zasadami, których nie chcieliby widzieć wyrzniętymi na swym grobowcu.

214. Takt jest wdziękiem mężczyzny.

P. Courty.

215. Ileż ludzi możnaby uszczęśliwić szczęściem, które się marnuje.

Manuel.

216. Pokusa musi stać się bardzo silną, aby mogła być zwyciężoną.

Höfding.

217. Dla szanującego się człowieka najdotkliwszym wyrzutem będzie ten, którego mu oszczędzono.

du Carné.

218. Im bardziej człowiek jest szczerym, tem bardziej wydać się może niewiernym wobec innych, gdy pozostaje wiernym samemu sobie.

219. Najgorszem oczekiwaniem w życiu jest to, gdy się jeszcze nie wie z pewnością, czego się oczekuje.

220. Nigdy człowiek nie różni się bardziej od innego człowieka, niż od samego siebie.

Pascal.

221. Nie farbami artysta maluje obraz ale duszą.

Chardin.

222. W każdej sztuce tkwi szlachetne rzemiosło; gdy się mu zaprzecza, wysuwa się właśnie drwiąco naprzód, gdy się je uznaje i pielęgnuje, skromnie schodzi samo na plan drugi.

Hugo Lubliner.